

**Cztery ofiary:
dwoje uduszonych dzieci,
ojciec zadźgany nożem,
matka walcząca o życie.**



**Świetnie napisane...
Niesamowity klimat!**

HARLAN COBEN



KOLONIA

T A N A F R E N C H

1

Wyjaśnijmy sobie jedno: nadawałem się do tej sprawy idealnie. Bylibyście zdumieni, gdybyście wiedzieli, ilu chłopaków, mając wybór, dałoby nogę — a ja go miałem, przynajmniej na początku. Paru powiedziało mi wprost: „Dobrze, że nie ja, człowieku”. Nie martwiło mnie to nawet przez sekundę. Budzili we mnie litość.

Niektórzy nie palą się do wielkich przedstawień, tych z wysoką stawką — za dużo medialnego kitu, jak twierdzą, i skutków ubocznych, jeżeli nie rozwiąże się sprawa. Takie negatywne podejście to nie mój styl. Kto traci energię na myślenie, jak bardzo zaboli go upadek, w zasadzie już spadł. Skupiam się na pozytywach, a jest ich mnóstwo. Można udawać, że się o to nie dba, każdy jednak wie, że duże sprawy przynoszą duże awansy. Dajcie mi to, co trafia na czołówki, a dla siebie zatrzymajcie porachunki na noże między dealerami. Jeżeli nie możesz wytrzymać presji, biegaj w mundurze.

Niektórzy z chłopaków nie potrafią sobie radzić, kiedy zamordowane zostają dzieciaki. Przepraszam, że spytam: jeśli nie radzisz sobie z paskudnymi morderstwami, to co, do jasnej cholery, robisz w wydziale zabójstw? Założę się, że Urząd Patentowy z radością wzięłby do siebie kogoś o tak miękkim tyłku. Zajmowałem się niemowlakami, utonięciami, gwałtami z

morderstwem i odstrzeleniem głowy strzelbą, po którym całe ściany były obklejone zaschniętymi kawałkami mózgu, i śpię dobrze, dopóki robota zostaje wykonana. Ktoś musi się tym zajmować. Jeżeli to mam być ja, przynajmniej wszystko będzie zrobione, jak należy.

Jeśli już o tym mowa, ustalmy coś jeszcze: jestem cholernie dobry w tym, co robię. Nadal tak uważam. Pracowałem w wydziale zabójstw dziesięć lat i przez siedem, odkąd stanąłem na własnych nogach, miałem najwyższy wskaźnik wykrywalności. W tym roku zjechałem na drugie miejsce, ale lider dostał serię pewniaków, spraw rodzinnych, w których podejrzany praktycznie sam zatrząskiwiał sobie kajdanki na nadgarstkach i serwował się na tacy z sosem jabłkowym. Mnie dostało się to, co trudne, harówa typu „ćpun-ćpuna i nikt-nic-nie-widział”, mimo to robiłem wyniki. Gdyby naczelnik miał jakiegokolwiek wątpliwości, choć jedną, w każdej chwili mógłby mi odebrać śledztwo. Nie zrobił tego.

Oto co próbuję wam powiedzieć: to śledztwo powinno być pójść jak po maśle. Trafic do podręczników jako świetlisty przykład tego, jak należy prowadzić takie sprawy. Zgodnie z każdą podręcznikową zasadą powinno zostać śledztwem marzeń.

• • •

Gdy tylko wpłynęło do nas zgłoszenie, ze sposobu, w jaki to nastąpiło, wywnioskowałem, że chodzi o coś dużego. Wszyscy byliśmy tego świadomi. Zwyczajne morderstwo trafia do sali detektywów i jest przydzielane następnemu człowiekowi w grafiku, a jeżeli go nie ma — temu, kto akurat jest w pobliżu. Tylko duże sprawy, delikatne, wymagające odpowiedniej ręki, przechodzą przez naczelnika, by mógł wybrać prowadzącego. Gdy więc O'Kelly wsadził głowę w drzwi sali detektywów, wskazał mnie, rzucił: „Kennedy, do mojego gabinetu” i zniknął, wszystko było jasne.

Ściągnąłem marynarkę z oparcia krzesła i ją włożyłem. Tętno mi przyspieszyło. Minęło dużo czasu, zbyt dużo, odkąd miałem

do czynienia z tak poważną sprawą.

— Nigdzie nie idź — rzuciłem do Richiego, mojego partnera.

— Ooo! — wykrzyknął siedzący za biurkiem Quigley, udając przerażonego i potrząsając pulchną dłońią. — Pan Rewelka wpadł w gówno? Nie sądziłem, że doczekamy tego dnia.

— Napaś oczy, mój drogi. — Poprawiłem krawat. Quigley trochę zrzędził, bo był następny w grafiku. Gdyby do czegokolwiek się nadawał, O'Kelly może przydzieliłby sprawę jemu.

— Co wykręciłeś? — spytał.

— Przeleciałem twoją siostrę. Ale przyniosłem gazetę, żeby zasłonić jej twarz.

Chłopcy zachichotali, co sprawiło, że Quigley wyduł usta jak stara baba.

— To nie jest śmieszne.

— Ale do bólu prawdziwe?

Richie otworzył usta i z ciekawości ledwie mógł usiedzieć na krześle. Wyjąłem z kieszeni grzebień i szybko przeciągnąłem nim po włosach.

— Dobrze wyglądam?

— Wazeliniarz — prychnął Quigley, ciągle nadąsany.

Zignorowałem go.

— Jasne — mruknął Richie. — Ekstra. Co...

— Nigdzie nie idź — powtórzyłem i poszedłem do O'Kelly'ego.

Kolejna wskazówka: naczelnik stanął za biurkiem z rękami w kieszeniach spodni i bujał się w przód i w tył. Sprawa tak podniosła mu poziom adrenaliny, że nie zmieściłby się w fotelu.

— Nie spieszyłeś się.

— Przepraszam, panie naczelniku.

Stał, cmokał i czytał leżące na biurku zgłoszenie.

— Jak akta Mullena?

Minione dwa tygodnie spędziłem na sporządzaniu dla dyrektora Urzędu Oskarżyciela Publicznego aktu w zawilej sprawie handlarza narkotyków, dbając przede wszystkim o to, by nie

zostawić draniowi nawet szparki, przez którą mógłby się wyslizgnąć. Niektórzy detektywi uważają, że ich robota kończy się w chwili, gdy oskarżenie trafia do akt, ja jednak przejmuję się za każdym razem, gdy temu, kogo złapałem, uda się wyrwać szyję z pętli. Co zdarza się nieczęsto.

— Załatwione. Mniej lub bardziej.

— Mógłby to dokończyć ktoś inny?

— Nie ma problemu.

Skinął głową, nie przestając czytać. O'Kelly lubi, gdy go się pyta — świadczy to o tym, że wiesz, kto jest szefem — a ponieważ formalnie jest moim przełożonym, nie mam nic przeciwko turlaniu się jak mały dobry piesek, jeśli dzięki temu sprawy idą bardziej gładko.

— Coś przyszło, panie naczelniku?

— Znasz Brianstown?

— Nigdy o nim nie słyszałem.

— Ani ja. To jedno z tych nowych miejsc, w górę wybrzeża, zatoka za Balbriggan. Ta kolonia nazywała się Broken Bay czy coś w tym stylu.

— Broken Harbour — poprawiłem go. — Jasne. Znam Broken Harbour.

— Teraz nazywa się Brianstown. Wieczorem cały kraj usłyszy tę nazwę.

— To niedobrze.

O'Kelly ciężko położył dłoń na zgłoszeniu, jakby nie chciał go stracić.

— Mąż, żona i dwójka dzieci zaatakowani nożem we własnym domu. Żonę zabrano do szpitala, stan krytyczny. Pozostali nie żyją.

Przez chwilę trwaliśmy w milczeniu, śledząc drobne drgania powietrza wzbudzone przez te słowa.

— Kto to zgłosił? — spytałem w końcu.

— Siostra żony. Rozmawiają codziennie, ale dziś nie mogła się dodzwonić. Tak ją to zdenerwowało, że wsiadła do samochodu i pojechała do Brianstown. Auto stoi na podjeździe, światła palą

się w biały dzień, nikt nie reaguje na walenie do drzwi, więc dzwoni po mundurowych. Wyważyli drzwi i niespodzianka!

— Kto jest na miejscu?

— Tylko mundurowi. Rzucili okiem, uznali, że to nie ich liga, i natychmiast zadzwonili.

— Pięknie. — Jest mnóstwo debili, którzy przed przyznaniem się do porażki i zadzwonieniem po fachowców spędziliby godziny na zabawie w detektywów i zamienili sprawę w kupę gówna. Wyglądało na to, że mieliśmy szczęście trafić na dwójkę z pracującymi mózgami.

— Chcę, żebyś to wziął. Możesz?

— Będę zaszczycony.

— Jeśli nie możesz rzucić wszystkiego innego, powiedz od razu, to przydzielę Flaherty'ego. Sprawa ma priorytet.

Flaherty to gość od pewniaków, z najwyższym wskaźnikiem wykrywalności.

— To nie będzie konieczne, panie naczelniku. Mogę wziąć.

— Doskonale — powiedział O'Kelly, nie podał mi jednak zgłoszenia. Zbliżył je do lampy, przyglądał się tekstowi i pocierał kciukiem brodę. — Curran. Poradzi sobie?

Młody Richie był w wydziale od całych dwóch tygodni. Mnóstwo chłopaków nie lubi szkolić nowych, więc zajmują się tym ja. Jeśli znasz się na swojej robocie, jesteś odpowiedzialny za przekazywanie wiedzy.

— Poradzi.

— Mogę go na jakiś czas wsadzić gdzie indziej, dać ci kogoś, kto wie, o co chodzi.

— Jeśli Curran nie radzi sobie z presją, lepiej, żebyśmy dowiedzieli się o tym teraz. — Nie chciałem nikogo, kto „wie, o co chodzi”. Kłócenie się z nowicjuszami ma tę zaletę, że oszczędza człowiekowi męczarni: każdy tkwiący w branży od pewnego czasu ma swoje sposoby na załatwianie spraw, a gdzie kucharek sześć... i tak dalej. Nowicjusz, jeśli wie się, jak sobie z nim radzić, spowalnia znacznie mniej niż drugi stary fachura. Nie stać mnie było na marnowanie czasu na gierki typu „ty

pierwszy, nie, ty pierwszy”. Nie przy tej sprawie.

— Tak czy owak, byłbyś ważniejszy.

— Proszę mi zaufać, panie naczelniku, Curran sobie poradzi.

— To ryzyko.

Nowicjusze przez pierwszy rok czy coś około tego są na okresie próbnym. Nieoficjalnie. Nie zmienia to jednak wagi takiego układu. Gdyby Richie na starcie popełnił błąd w świetle reflektorów, mógłby od razu zacząć opróżniać biurko.

— Poradzi sobie. Zadbam o to — zapewniłem.

— Nie chodzi mi o Currana — zaznaczył O’Kelly. — Kiedy prowadziłeś dużą sprawę?

Wpatrywał się we mnie, oczy miał małe i przenikliwe. Ostatnia sprawa dużego kalibru poszła mi źle. Nie z mojej winy. Pograł sobie ze mną ktoś, kogo uważałem za przyjaciela, wrzucił mnie w szambo i tam zostawił, ale ludzie to pamiętali.

— Prawie dwa lata temu — odparłem.

— Właśnie. Rozwiąż tę i wracasz do gry.

Drugą część pozostawił niewypowiedzianą; leżała na stojącym między nami biurku jak coś gęstego i ciężkiego.

— Rozwiążę.

O’Kelly skinął głową.

— Tak sądziłem. Informuj mnie na bieżąco. — Pochylił się nad biurkiem i podał mi zgłoszenie.

— Dziękuję, panie naczelniku. Nie zawiodę pana.

— Cooper i technicy są już w drodze. — Cooper to nasz patolog. — Będziesz potrzebował ludzi; każę wydziałowi ogólnemu podesłać ci paru dyspozycyjnych. Sześciu wystarczy, jak na razie?

— Sześciu brzmi nieźle. Jeśli będę potrzebował więcej, zgłoszę się.

— I, na litość boską, zrób coś z ciuchami Currana.

— Zamieniliśmy słówko w zeszłym tygodniu.

— Zamień jeszcze jedno. Co to za cholerna bluza z kapturem, którą miał wczoraj?

— Zdjąłem z niego adidasy. Metoda małych kroków.

— Jeśli chce zostać przy tej sprawie, lepiej byłoby, gdyby zrobił kilka wielkich, zanim pojawi się na miejscu zdarzenia. Media rzucą się na to jak muchy na gówno. Każ mu przynajmniej nie zdejmować płaszcza, żeby nie było widać dresu, czy czym nas tam zaszczycił.

— Mam w biurku zapasowy krawat. Curran będzie w nim wyglądał, jak należy.

O'Kelly mruknął coś o świni w smokingu.

W drodze do sali detektywów rzuciłem okiem na zgłoszenie. Jak powiedział O'Kelly, ofiarami byli Patrick Spain, jego żona Jennifer i ich dzieci, Emma i Jack. Siostra, która dzwoniła, nazywała się Fiona Rafferty. Pod jej nazwiskiem człowiek z centrali dopisał ostrzegawczymi kapitalikami: UWAGA — ZDANIEM FUNKCJONARIUSZA DZWONIĄCA JEST ROZHISTERYZOWANA.

• • •

Richie wstał z krzesła i przestępował z nogi na nogę, jakby miał sprężyny w kolanach.

— No i...

— Bierz swoje rzeczy, jedziemy.

— Mówiłem ci — powiedział Quigley do Richiego.

Ten popatrzył na niego wielkimi niewinnymi oczami.

— Naprawdę? Przepraszam, stary, nie zwróciłem uwagi. Co innego chodziło mi po głowie. Rozumiesz, co mam na myśli?

— Próbuję ci wyświadczyć przysługę, Curran. Możesz skorzystać albo nie. — Quigley w dalszym ciągu próbował wyglądać na zranionego.

Włożyłem płaszcz i zacząłem sprawdzać, co mam w teczce.

— Zdaje się, że mieliście fascynującą pogawędkę. Chcesz się tym podzielić?

— Nic ważnego — odparł Richie. — Tak sobie gadaliśmy.

— Ostrzegłem tylko młodego Richiego — wyjaśnił Quigley głęboko przekonany, że ma rację — że to, że szef wezwał tylko ciebie, to zły znak. Informuje cię za plecami Richiego. Co to

mówi o jego pozycji w wydziale? Uznałem, że może chłopak chciałby się nieco nad tym zastanowić.

Quigley uwielbia robić nowicjuszy w konia tak samo, jak trochę za mocno przycisnąć podejrzanego. Każdy zażartował sobie kiedyś z żółtodzioba, jemu sprawia to jednak większą przyjemność niż innym. Zwykle ma dość rozumu, by zostawić moich chłopców w spokoju, ale Richie chyba go wkurzył.

— W najbliższym czasie będzie miał sporo do przemyślenia — odrzekłem. — Nie stać go na rozpraszenie się nieistotnymi bzdurami. Detektywie Curran, możemy iść?

— No cóż... — Quigley poruszył głową, co wyglądało, jakby wciągnął podbródki jeden w drugi. — Mną się nie przejmujcie.

— Nigdy tego nie robię, kolego. — Zastōnięty przez biurko, wyjąłem z szuflady krawat i wsunąłem go do kieszeni płaszcza. Nie chciałem dawać Quigleyowi amunicji. — Gotowy, detektywie Curran? Do roboty.

— No to do zobaczenia — rzucił Quigley do Richiego, gdy wychodziliśmy.

Richie posłał mu całusa, ale miałem tego nie widzieć, więc nie widziałem.

Był październik, gęsty, zimny, szary wtorkowy poranek, ponury i nabuzowany złością jak w marcu. Wziąłem z parkingu moją ulubioną srebrną beemkę — oficjalnie jest tak, że kto pierwszy, ten lepszy, w praktyce jednak żaden dzieciak z przemocy domowej nie dostanie się w pobliże najlepszego wozu detektywa z wydziału zabójstw, fura stoi więc tam, gdzie lubię, i nikt nie rzuca na podłogę opakowań po hamburgerach.

Mógłbym się założyć, że ciągle jeszcze, nawet przez sen, odnalazłbym drogę do Broken Harbour, nie był to jednak odpowiedni dzień, by stwierdzić, czy się myślę, włączyłem więc GPS. Nie wiedziałem, gdzie jest Broken Harbour. Chciałem się dostać do Brianstown.

Dwa pierwsze tygodnie w wydziale Richie spędził, pomagając mi pracować nad aktami sprawy Mullena i ponownie przesłuchując dziwnego świadka. Teraz po raz pierwszy miał

zobaczyć prawdziwe morderstwo i o mało nie zsiął się z podniecenia. Udało mu się trzymać w ryzach, aż ruszyliśmy.

— Dostaliśmy sprawę?! — wybuchnął.

— Dostaliśmy.

— Jakiego rodzaju?

— Morderstwo. — Zatrzymałem się na czerwonym, wyjąłem z kieszeni krawat i mu go podałem. Mielśmy szczęście: włożył koszulę — chociaż była to biała tanizna z tak cienkiego materiału, że tam, gdzie powinien mieć włosy na piersi, widać było skórę — i szare spodnie, nawet w porządku, gdyby nie były o rozmiar za duże. — Założ.

Popatrzył na krawat, jakby w życiu żadnego nie widział.

— Taak?

— Tak.

Przez chwilę sądziłem, że będę musiał stanąć i sam mu go zawiązać — ostatni raz miał krawat prawdopodobnie na confirmacji — w końcu jednak sobie poradził. Mniej więcej. Pochylił osłonę przeciwsloneczną, by przyjrzeć się sobie w lusterku.

— Zajebiście, nie?

— Lepiej. — O'Kelly miał rację: krawat ni cholery niczego nie zmieniał. Był ładny, z kasztanowego jedwabiu w delikatne paseczki, ale jedni ludzie mogą nosić dobre rzeczy, a inni po prostu nie mogą. Richie ma w najlepszy dzień metr siedemdziesiąt pięć, sterczące łokcie, chude nogi i wąskie ramiona, i choć jego teczka mówi, że ma trzydzieści jeden lat, wygląda na czternaście, i nazwijcie mnie uprzedzonym, ale wystarczyłoby mi jedno spojrzenie, by dokładnie określić, z jakiej dzielnicy pochodzi. Ma wszystko: za krótkie bezbarwne włosy, ostre rysy, sprężysty niecierpliwy chód, jakby jednym okiem sprawdzał, czy szykują się kłopoty, a drugim, gdzie jest coś niezamkniętego. Krawat wyglądał na nim jak ukradziony.

Potarł go palcem.

— Ładny. Oddam ci.

— Przyzwyczajaj się do niego. A jeśli będziesz miał okazję,

załatw sobie kilka własnych.

Patrzył na mnie i przez sekundę sądziłem, że zamierza coś powiedzieć, ale się powstrzymał.

— Dzięki — mruknął tylko.

Wjechaliśmy na nabrzeże i kierowaliśmy się na M1. Wiatr dmuchał od morza w górę rzeki Liffey, sprawiając, że piesi szli pochyleni do przodu. Gdy zrobił się korek — przez kutasa w terenówce, który nie zauważył albo miał gdzieś, że nie uda mu się przejechać przez skrzyżowanie — wyjąłem blackberry i napisałem SMS do Geraldine, mojej siostry:

Ger, PILNA przystuga. Możesz jak najszybciej odebrać Dinę z pracy? Jak zacznie nadawać, że straci godziny, powiedz, że zwrócę jej różnicę. Nie martw się, o ile wiem, nic jej nie jest, ale powinna pobyć z tobą kilka dni. Zadzwonię później. Dzięki.

Naczelnik miał rację: została godzina, może dwie, zanim media będą wszędzie w Broken Harbour. Dina to nasza siostra, Geri i ja się nią zajmujemy. Jeśli słyszała o sprawie, powinna być w bezpiecznym miejscu.

Richie nie zwracał uwagi na moją pisaninę, i dobrze. Zamiast tego obserwował GPS.

— Za miastem, tak?

— Brianstown. Słyszałeś o nim kiedyś?

Pokręcił głową.

— Z taką nazwą to musi być jedno z tych nowych osiedli.

— Dokładnie. Nad zatoką na północy, na wybrzeżu. Kiedyś była tam kolonia zwana Broken Harbour, ale najwyraźniej ktoś tam zainwestował. — Kutasowi w terenówce udało się usunąć z drogi i samochody znowu ruszyły. Jeden z plusów recesji: połowa samochodów to terenówki i ci z nas, którzy jeszcze mają dokąd jechać, mogą się tam dostać. — Powiedz mi coś: jaka była najgorsza rzecz, jaką widziałeś w robocie?

Richie wzruszył ramionami.

— Zanim trafiłem do kradzieży samochodów, wieki pracowałem w drogówce. Widziałem sporo naprawdę paskudnych rzeczy. Wypadków.

Oni wszyscy tak uważają. Sam na pewno też tak myślałem, dawno temu.

— Nie, synu, nie widziałeś. Właśnie powiedziałeś, jak bardzo jesteś niewinny. Oglądać dzieciaka, któremu rozłupało głowę, bo jakiś przygłup wszedł za szybko w zakręt, to żadna przyjemność, ale jest niczym w porównaniu z widokiem głowy dzieciaka rozłupanej przez kutasa, który z rozmysłem walił nią o ścianę, aż mały przestał oddychać. Dotąd widziałeś tylko to, co na ludzi może sprowadzić niefart, a za chwilę po raz pierwszy dobrze się przyjrzyj temu, co ludzie potrafią robić sobie nawzajem. Uwierz mi: to dwa różne światy.

— To dzieciak? Tam, dokąd jedziemy?

— Rodzina. Ojciec, matka i dwójka dzieci. Matka może się wygrzebie. Pozostali nie żyją.

Jego leżące na kolanach dłonie znieruchomiały.

— Ach... dobry Boże. W jakim wieku te dzieciaki?

— Jeszcze nie wiemy.

— Co im się stało?

— Najwyraźniej zostały zadżgane. W domu, prawdopodobnie w nocy.

— Paskudne. Paskudne jak cholera. — Skrzywił się.

— Tak, paskudne. Ale do chwili dotarcia na miejsce zdarzenia musisz o tym zapomnieć. Zasada numer jeden, jeśli chcesz, możesz ją sobie zapisać: żadnych emocji na miejscu zbrodni. Policz do dziesięciu, odmów pacierz, wal świńskie dowcipy, rób, co chcesz. Jeżeli potrzebujesz kilku wskazówek, jak sobie radzić, pytaj teraz.

— Nic mi nie jest.

— Oby. Siostra matki jest na miejscu i nie interesuje jej, jak bardzo się przejmujesz. Musi tylko wiedzieć, że panujesz nad sytuacją.

— Panuję.

— Cieszę się. Poczytaj sobie.

Podaliśmy mu zgłoszenie i dałem pół minuty, by je przejrzał. Gdy się skupiał, jego twarz się zmieniała: wyglądał starzej i bardziej inteligentnie.

— Kiedy dotrzemy na miejsce — powiedziałem, gdy jego czas minął — jakie pytanie chciałbyś zadać jako pierwsze mundurowym?

— O broń. Czy znaleziono ją na miejscu zdarzenia.

— Dlaczego nie: „Czy były ślady wejścia przy użyciu siły?”.

— Ktoś mógłby sfingować włamanie.

— Nie owijajmy w bawełnę. Mówiąc „ktoś”, masz na myśli Patricka albo Jennifer Spain.

Drgnięcie ust było tak nieznaczące, że gdybym go nie oczekiwał, mógłbym niczego nie dostrzec.

— Każdego, kto miał dostęp. Krewnego, kumpla. Każdego, kogo by wpuścili.

— Nie ich jednak miałeś na myśli, prawda? Myślałeś o Spainach.

— Tak. Chyba tak.

— Zdarza się, mój drogi. Nie ma co udawać, że jest inaczej. To, że Jennifer Spain przeżyła, stawia ją w centrum uwagi, z drugiej jednak strony, jeśli sprawy mają się tak jak tu, na ogół chodzi o ojca, bo kobieta załatwia tylko dzieciaki i siebie, a mężczyzna całą rodzinę. Tak czy owak, zwykle nie zadają sobie trudu, by upozorować włamanie. Dawno przestali się tym przejmować.

— Mimo wszystko. Wyobrażam sobie, że będziemy mogli stwierdzić to sami, gdy zjawią się technicy, nie musimy wierzyć na słowo mundurowym. Ale o broni chcę wiedzieć od razu.

— Dobry chłopiec. Więc taki masz numer jeden na liście, jeśli chodzi o mundurowych. W porządku. Jakie pierwsze pytanie chcesz zadać siostrze?

— Czy ktoś miał cokolwiek przeciwko Jennifer Spain. Albo Patrickowi Spainowi.

— Hm, jasne, ale o to zapytamy każdego, kogo uda nam się

znaleźć. O co chcesz spytać Fionę Rafferty?

Pokręcił głową.

— O nic? Ja chętnie bym usłyszał, co ona tam robi.

— Tu jest napisane... — Wziął zgłoszenie. — Rozmawiały codziennie. Nie mogła dodzwonić się do siostry.

— No i? Zastanów się nad układem w czasie, Richie. Powiedzmy, że zwykle rozmawiają o... czy ja wiem... dziewiątej, gdy mężczyźni wyszli do pracy, a dzieciaki zostały wysłane do szkoły...

— Albo same dotarły do pracy. Znaczą... kobiety. Mogą gdzieś pracować.

— Jennifer Spain nie pracowała, bo wtedy problem siostry nie brzmiałby: „Nie mogłam się do niej dodzwonić”, ale: „Nie było jej w pracy”. Tak więc Fiona dzwoni do Jennifer o dziewiątej z minutami, najwcześniej wpół do dziewiątej, do tego momentu obie były zajęte organizowaniem sobie dnia. A o dziesiątej trzydzieści sześć — postukałem w zgłoszenie — jest w Briantown i dzwoni po gliniarzy. Nie wiem, gdzie Fiona Rafferty mieszka ani gdzie pracuje, ale wiem, że Briantown jest dobrą godzinę jazdy od niemal wszystkiego. Inaczej mówiąc, gdy Jennifer spóźnia się godzinę na poranną pogawędkę — maksimum godzinę, być może znacznie mniej — Fiona wpada w panikę, rzuca wszystko i transportuje dupsko na koniec świata. Jak na moje oko, to dość przesadna reakcja. Nie wiem jak ty, przyjacielu, ale ja jestem bardzo ciekawy, co ją tak nagle przycisnęło.

— Mogła nie być godzinę drogi stąd — zauważył Richie. — Może mieszka tuż obok i dzwoniła, żeby być na bieżąco.

— Więc dlaczego jechała samochodem? Jeśli mieszka za daleko, by iść piechotą, mamy do czynienia z odległością na tyle dużą, że przyjazd byłby czymś dziwnym. A zasada numer dwa brzmi: dziwne zachowanie jest prezencikiem specjalnie dla ciebie i nie wypuszcza się go z ręki, nim się go nie rozpakuje. Nie jesteśmy w samochodówce, Richie. W tym przedstawieniu nie ma kwestii: „Jasne, to pewnie nieważne, po prostu była tego

dnia w dziwnym nastroju, dajmy sobie z tym spokój”. Nigdy.

Zapał ten rodzaj ciszy, który oznacza, że rozmowa jeszcze się nie skończyła.

— Jestem dobrym detektywem — odezwał się wreszcie Richie.

— Jestem prawie pewny, że kiedyś będziesz znakomitym detektywem, ale teraz musisz się nauczyć niemal wszystkiego.

— Czy nosić krawaty, czy nie?

— Nie masz piętnastu lat, koleżko. Ubieranie się jak złodziej nie czyni z ciebie wielkiego zagrożenia dla establishmentu, a jedynie kretyna.

Pomacał cienki pasek materiału zwisający mu z szyi.

— Wiem, że chłopaki z zabójstw nie pochodzą zwykle z takiego miejsca jak ja — powiedział, starannie dobierając słowa.

— Wszyscy są z rodzin farmerów, nie? Albo z nauczycielskich. Nie jestem tym, kogo ludzie się spodziewają. Wiem o tym. — Jego zielone oczy patrzyły spokojnie.

— Nieważne, skąd pochodzisz. Nie zmienisz tego, nie marnuj więc energii na rozmyślania. Ważne, dokąd podążasz, a tym, kolego, możesz kierować.

— Wiem. Jestem tutaj, nie?

— A moim zadaniem jest pomóc ci dotrzeć dalej. Jednym ze sposobów, by decydować, dokąd zmierzamy, jest zachowywać się tak, jakbyśmy już tam byli. Nadążasz?

Wyglądał na skonsternowanego.

— Ujmijmy to tak: dlaczego, twoim zdaniem, jeździmy beemką?

Wzruszył ramionami.

— Wydawało mi się, że lubisz ten wóz.

Zjąłem rękę z kierownicy, by wskazać palcem Richiego.

— Wydawało ci się, że moje ego lubi ten wóz. Nie oszukuj się, to nie takie proste. Nie ścigamy sklepowych złodziejasków. Mordercy to grube ryby. Nie ma nic poważniejszego niż to, co robią. Gdybyśmy pojawili się na miejscu zdarzenia poobijaną dziesięcioletnią toyotą, okazalibyśmy brak szacunku: jakby ofiary nie zasługiwały na najlepsze, czym dysponujemy. Ludzi by to

wkurzyło. Chciałbyś tak zaczynać?

— Nie.

— Oczywiście, że nie. A na dodatek w poobijanej toyocie wyglądalibyśmy jak dwaj nieudacznicy. A wygląd jest ważny, mój drogi. Nie tylko dla mojego ego. Na widok dwóch nieudaczników czarne charaktery uznałyby, że mają większe jaja, co sprawiłoby, że trudniej byłoby ich złamać. Obywatele na widok dwóch nieudaczników uznałoby, że nigdy nie rozwiążemy sprawy, po co więc trudzić się pomaganiem nam? A gdybyśmy sami przy każdym spojrzeniu w lusterko widzieli dwóch nieudaczników, jak sądzisz, co by się stało z naszymi szansami na zwycięstwo?

— Zmniejszyłyby się. Tak sądzę.

— Tak jest! Jeśli chcesz osiągnąć sukces, nie może załatywać od ciebie porażką. Rozumiesz, co mówię?

Dotknął węzła krawata.

— Lepiej się ubierać. Właściwie.

— Tyle tylko, że tu wcale nie chodzi o to, co jest właściwe, synu. W ogóle nie ma o tym mowy. Zasady istnieją z określonego powodu. Nim je złamiesz, warto zastanowić się z jakiego.

Wjechałem na M1 i wcisnąłem gaz, pozwalając beamce robić swoje. Richie zerknął na prędkościomierz, wiedziałem jednak bez patrzenia, że jadę dokładnie tyle, ile można, ani kilometr więcej, i trzymał buzię na kłódkę. Prawdopodobnie myślał, jaki ze mnie smętny fajfus. Mnóstwo ludzi tak uważa, a wszyscy to nastolatki — jeśli nie fizycznie, to umysłowo. Tylko nastolatki twierdzą, że nudziarstwo jest złe. Dorośli, dojrzały mężczyźni i dojrzałe kobiety, z jakimś doświadczeniem, wiedzą, że nuda jest darem Boga. Życie, nawet bez naszych starań, by było bardziej dramatyczne, ma w zanadrzu więcej podniet, niż trzeba. Gotowe jest w nas nimi uderzyć, gdy tylko się odwrócimy. Jeśli Richie jeszcze tego nie wiedział, wkrótce miało się to zmienić.

• • •

Wierzę w zagospodarowanie przestrzeni — jeśli chcecie,

obwiniajcie deweloperów oraz posłusznych im bankierów i polityków o recesję, jednak gdyby nie myśleli szerzej, nigdy nie wygrzebalibyśmy się z poprzedniej. Wolę oglądać apartamentowiec nabitý ludźmi wychodzącymi co rano do pracy, utrzymującym kraj na wysokich obrotach i wracającymi do domu do ładnych miejsc, na które zapracowali, niż pole niepotrzebne nikomu poza kilkoma krowami. Miejsca są jak ludzie i rekiny: jeśli przestają się ruszać, umierają. Każdy ma jednak takie miejsce, o którym lubi sądzić, że nigdy się nie zmieni.

Gdy byłem chudym małym chłopaczkiem ze strzyżonymi w domu włosami i w pocerowanych džinsach, znałem Broken Harbour jak własną kieszeń. Ostatnio podczas boomu dzieciaki dorastały na wakacjach w ciepłych krajach — minimum stanowiły dwa tygodnie na Costa del Sol — ja mam jednak czterdzieści dwa lata, a nasze pokolenie miało niewielkie oczekiwania. Kilka dni nad Morzem Irlandzkim w wynajętej przyczepie kempingowej wysuwało człowieka przed sforę.

W tamtych czasach Broken Harbour był synonimem „nigdzie”. Kilkanaście rozproszonych chałup, pełnych rodzin o takich nazwiskach jak Whelan czy Lynch, które tkwiły tu od początku ewolucji, sklep zwany U Lyncha oraz pub U Whelana i trochę miejsc dla przyczep kempingowych, oddalonych o krótki spacer na bosaka przez osypujące się wydmy, między kępami trawy piaskownicy, do kremowej, zagiętej linii wybrzeża. Czerwiec w czerwec siedzieliśmy tam przez dwa tygodnie w zardzewiałej czteroosobowej budzie, którą ojciec rezerwował z rocznym wyprzedzeniem. Geri i ja dostawaliśmy górne łóżka na piętrówkach, Dina trafiała na dół, naprzeciwko rodziców. Jako najstarsza, Geri mogła wybierać pierwsza — zawsze chciała stronę od ładu, by mieć widok na kucyki na polu. Tak więc co rano otwierałem oczy na białe linie morskiej piany i ptaki śmigające po piachu na patykowatych nogach, na migoczący we wczesnym świetle krajobraz.

Nasza trójka wstawała i wychodziła na dwór o świcie, z kromkami posypanego cukrem chleba w rękach. Cały dzień

bawiliśmy się z dziećmi z sąsiednich przyczep w piratów, a od soli, wiatru i słońca dostawaliśmy piegów i złaziła nam skóra. Do herbaty matka smażyła na kempingowej kuchence jajka i kiełbaski, potem ojciec posyłał nas do Lyncha po lody. Gdy wracaliśmy, mama siedziała mu na kolanach, opierała głowę w zagłębieniu jego szyi i uśmiechała się rozmarzona, patrząc na wodę. Ojciec nawijał sobie jej włosy na palce, żeby bryza nie zwiewała ich do lodów. Czekałem cały rok, by oglądać ich w takiej sytuacji.

Gdy zjechałem z krajowej, zacząłem przypominać sobie drogę, jakbym odtwarzał coś oczywistego, choć w głowie miałem tylko wypłowieły szkic: obok kępy drzew — teraz wyższych — w lewo, przy załamaniu kamiennego muru. Tam gdzie za niskim zielonym pagórkiem powinna pojawić się woda, znikąd wyskoczyło osiedle, zagradzając nam drogę niczym barykada: szeregi pokrytych łupkiem dachów i białych kalenic, ciągnących się za wysokim murem z pustaków chyba kilometry w każdym kierunku. Tablica przy bramie informowała krzykliwymi, pełnymi zawijasów literami wielkości mojej głowy:

**WJTAJMY W OCEAN VIEW, BRJANSTOWN.
NOWA SENSACJA MIESZKANOWA WYŻSZEJ KLASY.
LUKSUSOWE DOMY DO OBEJRZENIA.**

Ktoś sprayem namalował na tym wielkiego czerwonego kutasa z jajami.

Na pierwszy rzut oka Ocean View wyglądało dość gustownie: wielkie domy, coś konkretnego za ciężko zarobione pieniądze. Były tu przystrzyżone pasy zieleni, staroświeckie kierunkowskazy wskazujące drogę do przedszkola Mały Klejnot i centrum rekreacyjnego Diamentowy Szlif. Drugi rzut oka ujawniał, że trawa wymaga pielienia, a w chodnikach są dziury. Po trzecim było jasne, że coś jest nie tak.

Domy były do siebie zbyt podobne. Nawet w tych z krzyczącą triumfalnie czerwono-niebieską tablicą „Sprzedany” nikt nie

pomalował na syfiasty kolor frontowych drzwi, nie ustawił na parapetach doniczek z kwiatami ani nie porzucił na trawniku plastikowych zabawek. Tu i ówdzie stały samochody, choć większość podjazdów była pusta, ale nie odniosłem wrażenia, że mieszkańcy pojechali umacniać gospodarkę. Przez trzy czwarte domów dało się patrzeć na przestrzał — widać było puste otwory okienne w tylnych ścianach i szare plamy nieba za nimi. Dobrze zbudowana dziewczyna w czerwonej kurtce pchała chodnikiem wózek, wiatr szarpał jej włosy. Wraz z dzieciakiem o twarzy jak księżyc mogliby być jedynymi osobami w promieniu kilometrów.

— Boże — westchnął Richie. W panującej ciszy jego głos był wystarczająco głośny, żebyśmy obaj podskoczyli. — Wioska przeklętych.

Na zgłoszeniu podano Ocean View Rise numer dziewięć, co miało być większy sens, gdyby Morze Irlandzkie było oceanem albo przynajmniej było widoczne, uważam jednak, że należy maksymalnie wykorzystać karty, jakie się dostało. GPS się gubił: kazał nam jechać Ocean View Drive, wpakował nas w ślepy koniec Ocean View Grove* — czułem się, jakbym trafił trójkę na wyścigach, bo w „zagajniku” nie było drzew — i poinformował nas: „Dotarłeś do celu. Do widzenia”.

Zawróciłem i zacząłem się rozglądać. Im głębiej w osiedle wjeżdżaliśmy, tym bardziej niedokończone były domy — jakbyśmy oglądali puszczone od tyłu film. Dość szybko zamieniły się w przypadkowo zestawione kombinacje ścian i rusztowań z dziwnie umieszczonymi otworami na okna. Tam gdzie brakowało fasad, pomieszczenia były zagracone połamanymi drabinami, fragmentami rur, gnijącymi workami cementu. Za każdym zakrętem spodziewałem się ujrzeć pracujących robotników, ale najbliższa aktywności budowlanej okazała się poobijana żółta

* Val Doonican — popularny irlandzki piosenkarz.

** William Szekspir, *Burza*, przekł. J. Paszkowski, Biblioteka Narodowa.

*** J 14,2, Biblia Tysiąclecia. Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Pallottinum, Poznań 2003.